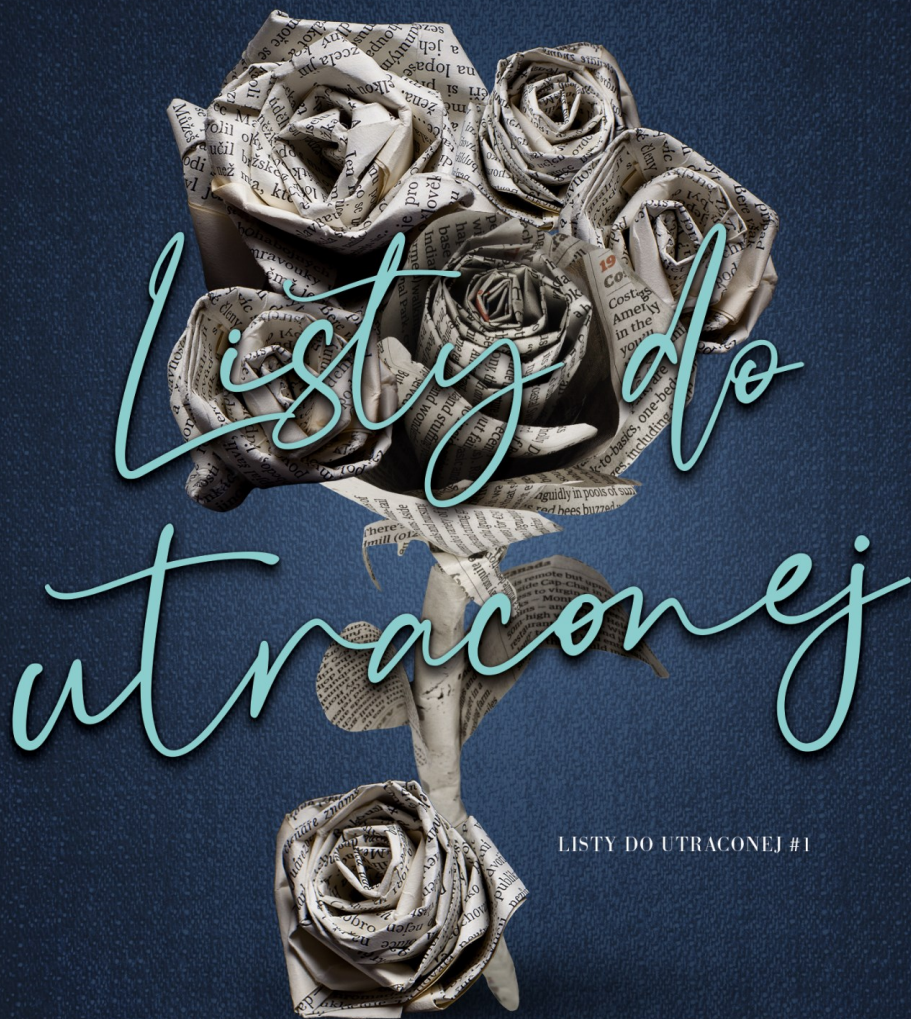


„Ta ujmująca opowieść chwyta za serce i porusza problemy,  
o jakich tak bardzo boimy się mówić. Czeką was podróż pełna łez, tajemnic i emocji”.

*Julia Brylewska*



LISTY DO UTRACONEJ #1

BRIGID KEMMERER



Tytuł oryginału

*Letters to the Lost*

Copyright © 2022 by Brigid Kemmerer

All rights reserved

Copyright © for Polish edition

Wydawnictwo NieZwykłe Zagraniczne

Oświęcim 2023

Wszelkie Prawa Zastrzeżone

**Redakcja:**

Agnieszka Nikczyńska-Wojciechowska

**Korekta:**

Joanna Kalinowska

Edyta Giersz

Barbara Hauzińska

**Redakcja techniczna:**

Paulina Romanek

**Projekt okładki:**

Paulina Klimek

**Druk i oprawa:**

Abedik S.A.

[www.wydawnictwoniezwykle.pl](http://www.wydawnictwoniezwykle.pl)

Numer ISBN: 978-83-8320-845-9

**BRIGID KEMMERER**

**LISTY DO  
UTRACONEJ**

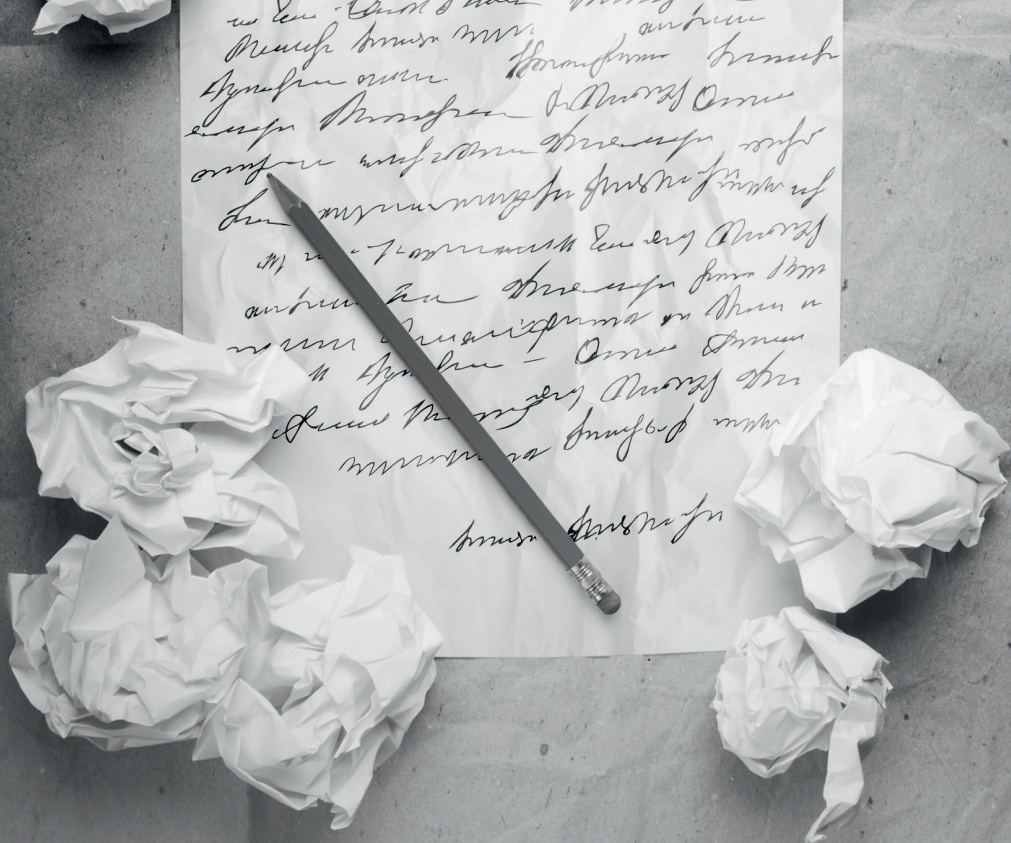
**LISTY DO UTRACONEJ #1**

**TŁUMACZENIE  
PIOTR PAZDEJ**

**OŚWIĘCIM 2023**

*Dla Michaela,*

to prawdziwe szczęście móc uczestniczyć w tej szalonej  
podróży u Twojego boku – głównie dlatego, że nawzajem  
powstrzymujemy się przed zakończeniem jej zbyt wcześnie



## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Jest takie jedno zdjęcie, którego nie mogę wyrzucić z głowy. Widnieje na nim dziewczynka w kwiecistej sukience, przeraźliwie krzycząca w mroku. Wszędzie widać krew: na jej policzkach, na ubraniu, w rozbryzanych kroplach na ziemi. Lufa karabinu skierowana jest w stronę widoczną obok dziewczynki gruntowej drogi, a mężczyzny, który trzyma karabin, nie widać, można dostrzec jedynie jego wysokie, wojskowe buty. Pokazałaś mi to zdjęcie wiele lat temu, mówiłaś też o fotoreporterze, który je zrobił, ale ja pamiętam tylko krzyk, kwiaty, krew i karabin.

Jej rodzice musieli źle skrócić, albo coś w tym rodzaju. Pewnie w streśle, gdzie toczyła się jakaś wojna. Może miało to miejsce w Iraku? Tak, myślę, że to prawdopodobne. To było jakiś czas temu i niewiele już

*z tamtego czasu pamiętam. Wybrali złą drogę, a jacyś przestraszeni żołnierze zaczęli strzelać w ich samochód. Rodzice dziewczynki zginęli na miejscu.*

*Dziecko zaś miało szczęście.*

*A może jednak pecha?*

*Nie wiem.*

*Pierwsze, co rzuca się w oczy, to przerażenie, bo jest tak idealnie wyryte w wyrazie jej twarzy.*

*Dopiero potem dostrzega się detale. Krew. Kwiaty. Karabin. Buty.*

*Część twoich zdjęć jest równie wstrząsająca. Przepraszam, chyba powinienam myśleć właśnie o nich. Pisanie o czyimś talencie, gdy opieram się o twój nagrobek, wydaje się czymś niezbyt stosownym.*

*Ale to silniejsze ode mnie.*

*Na jej dziecięcej twarzy tyle się dzieje. Jej świat został właśnie rozerwany na strzępy i ona o tym wie.*

*Jej matka odeszła i ona o tym wie.*

*To zdjęcie to czysta udręka.*

*Zawsze, gdy na nie patrzę, myślę: „Wiem dokładnie, co ta dziewczynka czuje”.*

Muszę przestać gapić się w ten list.

Podniosłem kopertę tylko dlatego, że zanim zaczniemy kosić trawę, powinniśmy pozbierać sprzed nagrobków wszystkie prywatne graty. Rzadko kiedy się z tym śpieszę, bo i tak muszę odsiedzieć swoje osiem godzin.

Moje brudne palce zostawiły ślady wzdłuż krawędzi kartki. Powinienem ją wyrzucić, dopóki nikt się jeszcze nie zorientował, że miałem ją w ręku.

Ale nie mogę oderwać wzroku od nakreślonych długopisem liter. Pismo jest zgrabne i równe, chociaż ma swoje niedoskonałości. Najpierw nie umiem określić, co przyciąga moją uwagę, ale po chwili zaczynam kumać: dłoń, która to pisała, musiała drżeć. Wydaje mi się, że pisała to jakaś dziewczyna. Wskazują na to litery, są takie... okrągłe.

Patrzę na nagrobek. Nowiutki. Widnieją na nim wyraźne litery wyryte w lśniącym granicie. *Zoe Rebecca Thorne. Ukochana żona i matka.*

Gdy spoglądam na datę śmierci, czuję się, jakbym dostał z liścia. Dwudziesty piąty maja tego roku. Dokładnie tego dnia wyzłopałem całą butelkę whiskey i wjechałem pikapem ojca w pusty biurowiec.

Wydaje mi się zabawne, że ta data tak bardzo wyryła się w mojej pamięci. Wnioskuje, że komuś innemu również zapadła w sercu, ale z zupełnie innego, gorszego powodu.

*Thorne.* Nazwisko brzmi znajomo, ale nie mogę sobie przypomnieć, gdzie je już słyszałem. Zmarła całkiem niedawno, i miała raptem czterdzieści pięć lat, pewnie mówili coś w wiadomościach.

Mogę się założyć, że moje nazwisko pojawiało się w mediach częściej.

– Hej, Murph! Chłopie, coś nie tak?

Aż podskakuję i upuszczam list. Melonhead, w skrócie Melon, mój „kierownik”, stoi na pagórku i przeciera czoło przesiąkniętą potem chusteczką.

Tak naprawdę to nie ma na nazwisko Melon, tak jak ja nie nazywam się Murph. Ale skoro ma głęboko gdzieś, że ja nazywam się Murphy, to przecież nie będę przejmował się tym, że on nazywa się Melendez.

Z tą różnicą, że nie gadam tak na głos w jego obecności – robię to jedynie w myślach.

– Sorka – wołam i schylam się po list.

– Sądziłem, że skończysz kosić tę część.

– Skończę – zapewniam.

– Oby, bo jak nie, to ja będę musiał. A chcę dziś wrócić do domu, młody – bąka z niezadowoleniem.

Zawsze mu się śpieszy do domu. Ma małą córeczkę. Dziewczynka ma trzy lata i totalną szajbę na punkcie disneyowskich księżniczek. Zna już wszystkie litery i cyfry, mała mądrała. Tydzień temu

wyprawili jej przyjęcie urodzinowe, na które zaprosili piętnaścioro dzieci z jej grupy przedszkolnej, a żona Melona upiekła tort.

To chyba jasne, że gównu mnie to obchodzi. Tylko za cholere nie mogę sprawić, żeby ten facet chociaż przez chwilę nie nawijał. Nie bez powodu powiedziałem przecież, że sam ogarnę ten kawałek cmentarza.

– Wiem – odpowiadam. – Dam radę.

– Jeśli nie, możesz zapomnieć o tym, że podpiszę ci dzisiaj kartę.

Ciśnienie mi skacze, ale w porę przypominam sobie, że za bycie fiutem raczej na pewno odwzajemni się skargą do sędziny. Pasuję, wystarczająco mnie już nienawidzi.

– Powiedziałem przecież, że dam radę.

Macha lekceważąco ręką, odwraca się ode mnie i zaczyna schodzić ze wzniesienia. Mogę się założyć, że myśli właśnie o tym, że zamierzam go wydymać. Może mój poprzednik tak właśnie robił. Nie mam zielonego pojęcia.

Chwilę później rozlega się warkot jego kosiarki.

Powinienem pewnie dokończyć zbieranie z ziemi pamiątek, żeby móc uruchomić swoją kosiarkę, ale tego nie robię. Wrzesniowe słońce zalewa cmentarz wyjątkowym żarem, przez co muszę odgarnąć z czoła mokre od potu włosy. Jakbyśmy byli na Głębokim Południu, a nie w Annapolis w stanie Maryland. Bandana Melona wydawała mi się totalną wiochą, ale teraz wypełnia mnie żrąca zazdrość.

Nienawidzę tego gówna.

Tak wiem, powinienem być wdzięczny za to, że dowalili mi tylko prace społeczne. Mam siedemnaście lat i przez chwilę byłem niemal pewny, że postawią mi zarzuty jak dorosłemu – tyle że nikogo przecież nie zabiłem ani nic w tym rodzaju. Uszkodzenie mienia, nic więcej. A pielęgnacja trawnika na cmentarzu to raczej nie wyrok śmierci, nawet jeśli otacza mnie ona ze wszystkich stron po horyzont.



Co w żaden sposób nie zmienia faktu, że na sam widok tego miejsca czuję dojmującą niechęć. Rozgłaszam na prawo i lewo, że opinia innych na mój temat znaczy dla mnie tyle, co zeszloroczny śnieg, ale to kłamstwo. Prędzej czy później, każdy w końcu by się przejął tym, że wszyscy wkoło uważają go jedynie za tykającą bombę zegarową. Rok szkolny trwa dopiero kilka tygodni, a już połowa moich nauczycieli sprawia wrażenie, jakby odliczała minuty do chwili, w której zaczną strzelać do wszystkiego, co poruszy się w zasięgu mojego wzroku. Już teraz mogę sobie wyobrazić, co napiszą pod moim zdjęciem w roczniku szkolnym: *Declan Murphy – nasz najlepszy kandydat na kryminalistę.*

Może i bym się uśmiechnął, gdyby nie było to tak cholernie dołujące.

Czytam list ponownie. Każde słowo promieniuje bólem. Tym specyficznym bólem, który wymusza pisanie listów do kogoś, kto nigdy ich nie przeczyta. Tym, który zmienia się w wysoki mur. Tym, który piszący uważa za najgorszy na świecie.

Mój wzrok zatrzymuje się na ostatnich linijkach.

*Na jej dziecięcej twarzy tyle się dzieje. Jej świat został właśnie rozrywany na strzępy i ona o tym wie.*

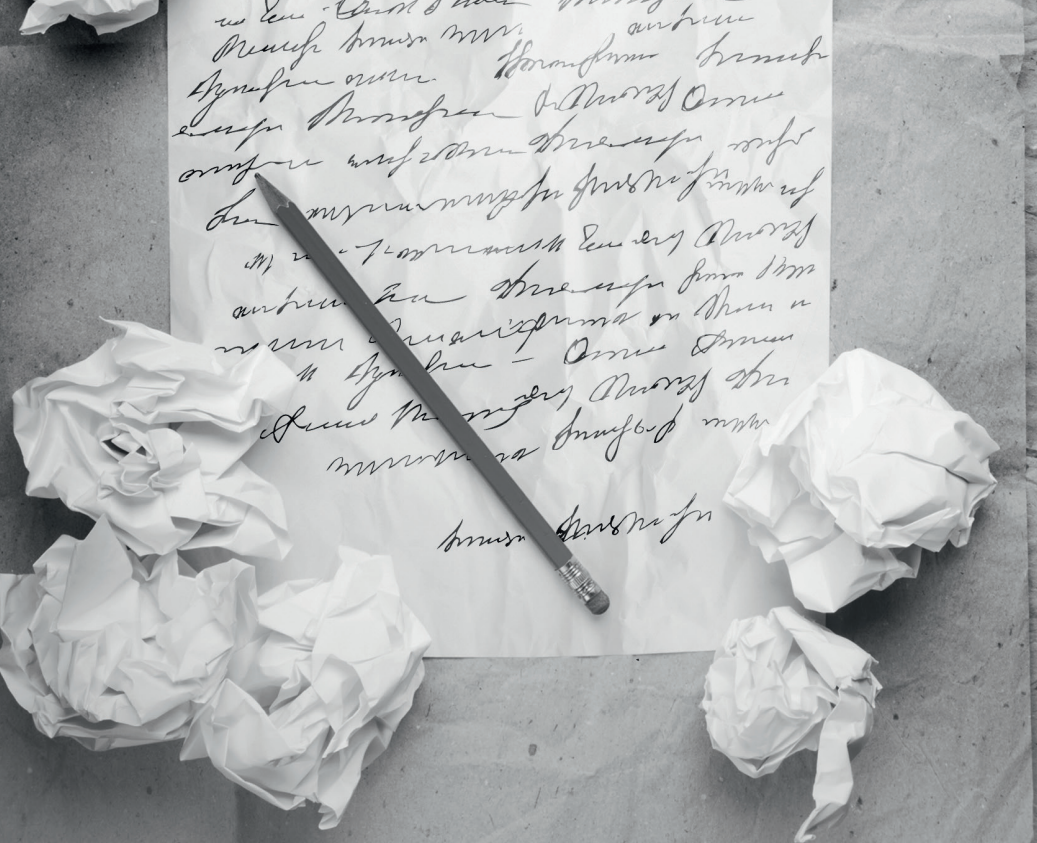
*Jej matka odeszła i ona o tym wie.*

*To zdjęcie to czysta udręka.*

*Zawsze, gdy na nie patrzę, myślę: „Wiem dokładnie, co ta dziewczynka czuje”.*

Nie myśląc za bardzo o tym, co robię, wyciągam z kieszeni ogryzek ołówka i przyciskam jego tępo zakończony czubek do papieru.

Tuż pod ostatnią liniijką tego napisanego drżąca, dziewczęcą dłonią listu dopisuję dwa słowa od siebie.



## ROZDZIAŁ DRUGI

*Ja też.*

Widzę, że słowa przed moimi oczami drgają, i dopiero po chwili uświadamiam sobie, że to nie kartka, tylko moja ręka. Obcy charakter pisma niemal wypala mi oczy.

*Ktoś przeczytał mój list.*

*Ktoś przeczytał mój list.*

Rozglądam się na wszystkie strony, jakby zrobił to dosłownie przed chwilą, ale cmentarz jest pusty. Ostatni raz byłam tu we wtorek. Jest czwartek rano, więc już samo to, że list wciąż się tu znajdował, graniczyło z cudem. Niemal zawsze koperta znika,

unicestwiona przez pogodę, zwierzęta lub – co wydaje mi się bardziej prawdopodobne – pracowników cmentarza.

Tym razem jednak nie dość, że list wciąż tu *był*, to jeszcze ktoś odczuł potrzebę dopisania swojego komentarza.

Kartka wciąż drży w moich zaciśniętych palcach.

Nie mogę...

To jest...

*Co... kto mógłby... dlaczego...*

Chcę krzyczeć. Nie jestem nawet w stanie złożyć logicznego zdania. Wściekłość rozpala się w moim wnętrzu piekielną burzą.

To było coś osobistego. *Intymnego*. Tylko między mną a moją mamą.

To musi być jakiś facet. Tłuste odciski paluchów na krawędziach, niemal kwadratowe litery. Arogancki dupek! Jak można wciskać się w cudzą żalobę i przywłaszczać sobie jej część? Mama mawiała często, że słowa zawsze zawierają cząstkę duszy tego, kto je napisał, a ja niemal czuję, jak wylewa się ona z kartki.

*Ja też.*

Nie, *żadne* on też. Nie ma żadnego *pojęcia*, jak to jest.

Złożę skargę. To niedopuszczalne. To przecież cmentarz. Ludzie przychodzą tu, by opłakiwać swoich bliskich. W spokoju i na osobności. To moja przestrzeń. MOJA. Nie jego.

Kroczę przez trawnik, nie dopuszczając do tego, by chłodne powietrze poranka osłabiło choć trochę wypełniający mnie ogień. Czuję ból w klatce piersiowej i chce mi się płakać.

To było nasze. Moje i jej. Moja matka nie może już odpisać, a jego słowa pod moim listem tylko dobitnie to potwierdzają. Mam wrażenie, że wbił we mnie ten swój ołówek, raniąc przy tym duszę.

Gdy docieram na szczyt wzniesienia, moje rzęsy lśnią już od łez, i oddycham nerwowo. Wiatr całkowicie potargał mi włosy. Jeszcze minuta i całkiem się rozkleję. Pojawię się w szkole spóźniona, z przekrwionymi oczami i rozmazanym makijażem. Znowu.

Szkolna psycholog, pani Vickers, początkowo starała się mnie pocieszyć. Wciągała mnie do swojego gabinetu i podsuwała pudełko z chusteczkami. Pod koniec trzeciej klasy ogólniaka byłam dość regularnie poklepywana po ramieniu i zapewniana na wpół konspiracyjnym szeptem, że czas leczy rany.

Obecnie mamy środek września, od śmierci mamy minęło kilka miesięcy. Od pierwszego dnia nowego roku szkolnego wszyscy zastanawiają się, kiedy w końcu zdołam się choć trochę ogarnąć. Pani Vickers zatrzymała mnie w miniony wtorek i zamiast posłać mi to swoje uprzejme spojrzenie, zapytała przez zaciśnięte usta, czy wciąż chodzę codziennie rano na cmentarz. I dodała, że chyba powinnyśmy porozmawiać o bardziej konstruktywnym wykorzystaniu mojego czasu.

Zupełnie jakby miała prawo się wtrącać.

Poza tym, nie przychodzę tu *codziennie*. Tylko w te poranki, kiedy tata wychodzi wcześniej do pracy – chociaż w połowie przypadków jestem przekonana, że i tak niczego by nie zauważył. Kiedy jest w domu, robi sobie na śniadanie dwa jajka i zjada je z miską zerwanych i umytych przeze mnie winogron. Siedzi przy stole, wpatruje się martwym wzrokiem w ścianę i milczy.

Jestem pewna, że gdybym puściła ten dom z dymem, on by tego nie zauważył.

Dzisiaj akurat jest ten dzień, kiedy tata wyjechał wcześniej do pracy.

Słońce, lekki wiatr, spokojna atmosfera cmentarza, wszystko to jest niczym wspianiały dar.

A te dwa słowa nabazgrane pod moim listem są jak klątwa.

Latynos w średnim wieku zdmuchuje liście i resztki trawy z wybrukowanej alejki. Gdy podchodzę, zatrzymuje się i wyłącza dmuchawę. Jest ubrany w coś w rodzaju roboczego uniformu, plakietka na jego piersi informuje, że nazywa się Melendez.

– Mogę w czymś pomóc? – pyta z lekkim akcentem.

W pierwszej chwili wydaje mi się, że dostrzegam w jego oczach niechęć, może nawet wrogość, ale szybko uznaję, że to raczej skutek silnego zmęczenia.

Za to w jego głosie pobrzmiwają wyraźna ostrożność i niepewność. Najwyraźniej moja twarz zdradza to, co dzieje się w moim wnętrzu. Jest niemal pewny, że chcę się na coś poskarżyć. Widzę to wyraźnie.

I ma rację, o czym właśnie zamierzam go poinformować. Musi być jakiś przepis, który zabrania robienia takich rzeczy. Moja pięść zaciska się na kartce, zgniata ją, a ja biorę wdech, żeby powiedzieć...

Wtedy zamieram.

Nie potrafię tego zrobić. Mama by tego nie chciała.

*Juliet, opanuj się.*

Mama zawsze była tą bardziej powściągliwą. Spokojna, umiała się odpowiednio zachować nawet w najgorszych sytuacjach. Musiała taka być, skoro nieustannie przemieszczała się od jednej strefy wojny do drugiej.

Poza tym, to, co chciałam powiedzieć, zabrzmiałoby, jakbym była zupełnie niezrównoważona. Już z pewnością na taką wyglądam. Bo co niby mam mu powiedzieć? Że ktoś dopisał dwa słowa do mojego listu? Do listu, który napisałam do kogoś, kto nie żyje? To przecież mógł być każdy. Na terenie otaczającym grób mojej matki znajduje się przecież masa innych pomników. Każdego dnia musi tu przychodzić chyba z setka ludzi, jeśli nie więcej.

I co niby ma zrobić ten gość od trawnika? Niańczyć nagrobek mojej matki? Zainstalować kamerę?

Żeby przyłapać kogoś, kto czai się z ołówkiem, by dopisywać swoje myśli do cudzych listów?

– Wszystko w porządku – mówię. – Przepraszam.

Wracam do jej grobu i siadam na trawie. Spóźnię się do szkoły, ale mam to gdzieś. W oddali rozlega się dźwięk włączanej dmuchawy do liści pana Melendeza, ale w tym miejscu jestem zupełnie sama.

Od czasu jej śmierci napisałam do niej dwadzieścia dziewięć listów. Po dwa listy co tydzień.

Gdy żyła, napisałam ich całe setki. Dzięki swojej pracy знаła wszystkie nowinki z zakresu technik cyfrowych, uwielbiała jednak i tęskniła za trwałością i precyzją, które zapewniała staroświeckość. Jak odręcznie pisane listy. Aparaty fotograficzne z kliszą. Zdjęcia, które robiła zawodowo, zawsze były cyfrowe, dzięki temu mogła obrabiać je dosłownie wszędzie, ale to kliśza była jej ulubionym medium. Nawet na jakiejś afrykańskiej pustyni, gdzie fotografowała głód, przemoc lub rozruchy na tle politycznym, zawsze znajdowała czas, żeby napisać do mnie tradycyjny list na kartce papieru.

Oczywiście robiliśmy też normalne rzeczy: wymienialiśmy e-maile i rozmawialiśmy na czacie wideo, jeśli tylko mogła. Ale listy – to było coś, co miało ogromne znaczenie. Papier przenosił każdą emocję, jak gdyby atrament, kurz i smugi po jej pocie nadawały słowom ciężar, dzięki czemu wyczuwałam strach, nadzieję i odwagę mamy.

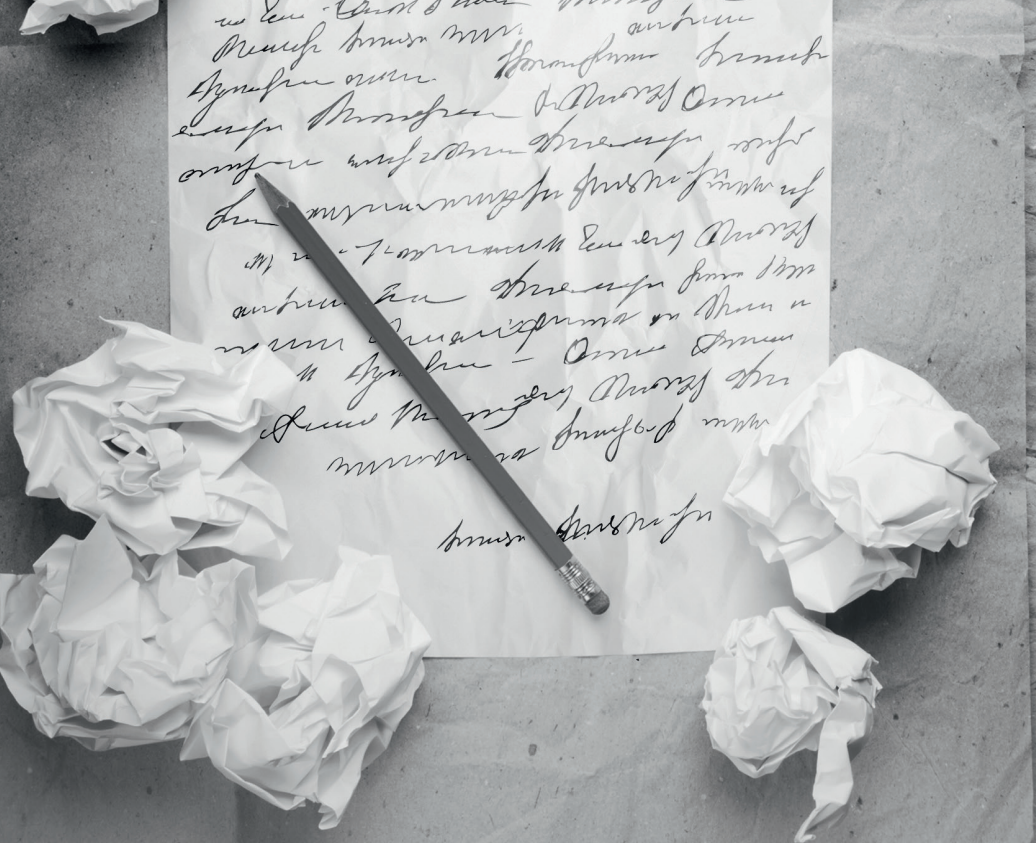
Odpisałam na każdy z jej listów. Niekiedy mijały całe tygodnie, zanim je dostała, bo musiały najpierw przejść długą drogę przez jej wydawcę do miejsca, do którego została oddelegowana. Niekiedy była w domu i mogłam wręczyć jej list tuż przed moim wyjściem. Ale czas i miejsce, a nawet listy były najmniej ważne. Najważniejsza w tym wszystkim była sama wymiana myśli.

Gdy umarła, nie potrafiłam przestać. Niemal zawsze jest tak, że gdy tylko zbliżam się do jej grobu, mogę normalnie oddychać dopiero wtedy, gdy dociskam długopis do papieru i zaczynam przesyłać jej swoje myśli.

Dziś jednak, po zobaczeniu tej odpowiedzi, nie jestem w stanie napisać choćby jednego słowa. Czuję się bezbronna. Za bardzo obnażona. Obezwładnia mnie świadomość, że wszystko, co napiszę, może zostać przeczytane. Przekrecone. Osądzone.

Dlatego nie piszę listu do niej.

Piszę do niego.



## ROZDZIAŁ TRZECI

Prywatność to iluzja.

Najwyraźniej doskonale o tym wiesz, przecież przeczytałeś mój list. Nie był adresowany do ciebie. Nie był dla ciebie. To coś, co z tobą nie ma nic wspólnego. To coś, co istnieje wyłącznie pomiędzy mną a moją mamą.

Wiem, że ona nie żyje.

Wiem, że nie może tych listów przeczytać.

Wiem, że nawiązanie z nią choćby namiastki bliskości jest bardzo trudne.

A teraz nie mam nawet tego.

Masz pojęcie o tym, co mi odebrałeś?



*Masz pojęcie o czymkolwiek?*

*To, co napisałeś, sugeruje, że wiesz, czym jest udręka.*

*Ale ja szczerze w to wątpię.*

*Gdyby tak było, nie zaktócałbyś mojej.*

Pierwsza myśl, jaka przychodzi mi do głowy, jest taka, że ta laska musi być stuknięta. Kto pisze do pierwszego lepszego nieznanego na cmentarzu?

Potem zdaję sobie sprawę, że kto jak kto, ale akurat ja raczej nie jestem kimś, kto ma prawo oceniać czyjeś życie.

Co w niczym nie zmienia faktu, że ona mnie nie zna. Nie wie, o czym mam pojęcie.

Nie powinno mnie tu nawet być. Jest czwartkowy wieczór, co oznacza, że powinienem kosić trawę po drugiej stronie cmentarza. Nie mam przecież mnóstwa czasu, który mogę spędzać na staniu i czytaniu listu od obcej dziewczyny. Wystarczyło, że wszedłem do magazynu ze sprzętem pięć minut po czasie, a Melon już spojrział wymownie na zegarek. Jeśli przyłapie mnie na tym, że się opieprzam, zgotuje mi prawdziwe piekło.

A jeśli nadal będzie mnie straszył telefonem do sądziny, coś może w końcu we mnie pęknąć.

Chwilę później czuję, jak moja początkowa irytacja ustępuje, pozostawiając po sobie poczucie winy. Stoję tu, bo czytając tamten list, poczułem coś w rodzaju więzi. Chciałem sprawdzić, czy nie zostawiono jeszcze jednego.

Nie spodziewałem się, że ktoś *przeczyta* to, co napisałem.

Świadomość, że ona musiała poczuć to samo, jest niebywale zaskakująca.

Przeszukuję kieszenie w poszukiwaniu ołówka, ale znajduję tylko klucze i zapalniczkę.

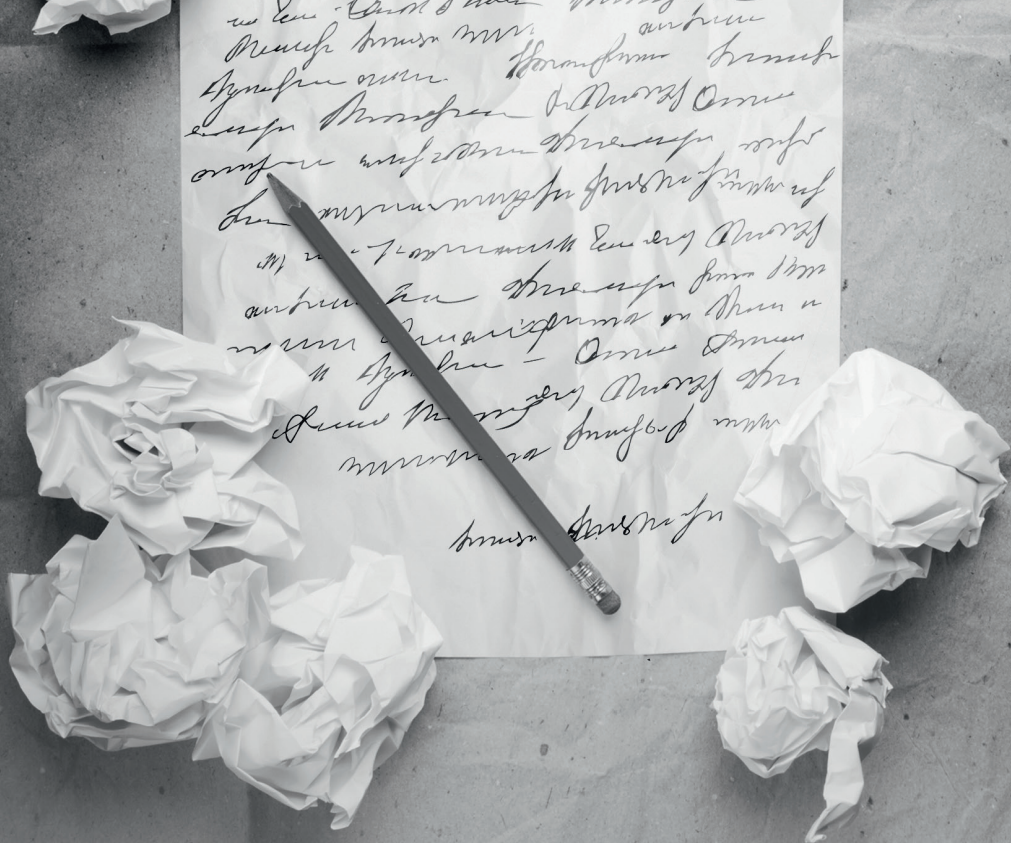
*Och, zaraz.* Rev potrzebował ołówka na siódmej lekcji. Dziwne, że nie oddał czegoś, co pożyczył, nawet rzeczy tak banalnej jak stary ołówek, to zupełnie nie w jego stylu.

Może to los chce mi właśnie przekazać, żebym się zatrzymał i zastanowił, zanim cokolwiek powiem. Zanim napiszę. Nieważne.

Składałam z powrotem tę jej tyradę i chowam kartkę do kieszeni. Potem zakładam rękawiczki i ruszam na poszukiwanie kosiarki. Nienawidzę tu być, ale po tygodniach pchania tego warczącego pudła odkryłem, że ciężka praca sprzyja myśleniu.

Popracuję więc i pomyślę.

A później wrócę tu, żeby coś napisać.



## ROZDZIAŁ CZWARTY

Nie wydaje mi się, żebyś miała pojęcie, czym jest udreka. W przeciwnym razie nie zakłócałabyś mojej.

Przyszło ci w ogóle do głowy, że to, co napisałem, także nie było skierowane do ciebie?

– Jules?

Podnoszę głowę. Stołówka jest niemal pusta. W końcu otrząsam się z zamyślenia i spoglądam na Rowan, która patrzy na mnie wyczekująco.

– Wszystko w porządku? – pyta. – Pierwszy dzwonek był z pięć minut temu. Sądziłam, że spotkamy się przy mojej szafce.

Składam podniszczoną już kartkę, którą znalazłam dziś rano i wciskam do plecaka, szarpiąc się uprzednio z uchwytem opornego suwaka. Nie wiem, kiedy napisał ten list, ale musiał zrobić to w zeszłym tygodniu, bo papier jest pomarszczony, jakby najpierw zmókł, a potem wyschnął, a przecież ostatni raz padało w sobotę.

To był pierwszy weekend od całkiem długiego czasu, kiedy nie poszłam na cmentarz. Na myśl o tym, że list przeleżał tam kilka dni, czuję ukłucie irytacji. Poczucie autora, że jest tym mądrzejszym, pewnie zdążyło już osłabnąć, podczas gdy moje jest niezachwiane i sprawia, że czuję złość.

Jak dobrze, że poszłam tam dziś rano. Trawę koszą we wtorkowe wieczory i list raczej na pewno trafiłby do kosza.

– Co tam tak oglądałaś? – Rowan przygląda mi się zaciękawiona.

– List.

Tyle jej wystarczy. Myśli, że to list do mojej matki. Nie zamierzam wyprowadzać jej z błędu.

Ostatnie, czego mi potrzeba, to to, żeby ktoś uważał mnie za bardziej szurniętą, niż jestem.

Rozlega się drugi dzwonek. Muszę się zbierać. Jeszcze jedno spóźnienie i będę musiała zostać za karę po lekcjach. Znowu. Sama myśl o tym sprawia, że gwałtownie przyspieszam kroku.

Nie mogę ponownie zostać ukarana. Nie mogę siedzieć w tej klasie przez kolejną godzinę. W ciszy, która rani moje uszy i daje mi zbyt wiele czasu na myślenie.

Rowan idzie tuż obok mnie. Pewnie odprowadzi mnie do klasy i przekona nauczyciela, używając tego swojego słodkiego wdzięku, żeby nie wpisywał mi spóźnienia. Sama nie musi martwić się spóźnieniami czy siedzeniem w klasie po lekcjach – nauczyciele ją uwielbiają. Na każdych zajęciach siedzi w pierwszym rzędzie i wsłuchuje się w każde słowo wypowiedane przez belfrów, jakby codziennie budziła się spragniona wiedzy. Rowan jest jedną

z tych dziewczyn, które łatwo nienawidzić: obdarzonych delikatną urodą, życzliwych dla wszystkich i pozornie łatwo osiągniętych wysoką średnią ocen. Gdyby nie była tak doskonała, z pewnością jej popularność byłaby o wiele większa. Cały czas jej to mówię.

A skoro już o popularności mowa – na pewno zyskałaby w oczach wszystkich, gdyby w ostatniej klasie jej najlepszą przyjaciółką nie był podręcznikowy wręcz przypadek chodzącej traumy.

Kiedy dziś rano znalazłam ten list, byłam niemal pewna, że przeczytam go i zacznę płakać. Tymczasem marzę o tym, żeby znaleźć tego dzbana i przywalić mu z całej siły w twarz. Za każdym razem, gdy zagłębiam się w treść rękopisu, moja wściekłość staje się jeszcze większa.

*Przyszło ci w ogóle do głowy, że to, co napisałem, także nie było skierowane do ciebie?* – recytuję w myślach.

Wściekłość pomaga uciszyć tę cząstkę mnie, która zastanawia się, czy przypadkiem nie jest tak, że ma rację.

Korytarz jest pusty, co wydaje się niemożliwe. Gdzie jest reszta spóźnialskich? Dlaczego zawsze to ja się spóźniam?

Poza tym, przecież nie jest tak, że nie ma mnie w szkole. Fizycznie cały czas jestem w budynku. Przecież nie przemienię się we wzorową uczennicę tylko dlatego, że któryś z nauczycieli znacznie odstawiać tę błagalno-irytującą szopkę przy tablicy.

Do skrzydła filologicznego docieramy niemal biegiem, wpadając w poślizg na każdym zakręcie. Wyciągam rękę i odbijam się od ściany, żeby łatwiej wystartować na ostatniej prostej.

Zanim dociera do mnie, że na coś wpadłam, czuję oparzenie. Gorący płyn wżera się w moją skórę, przez co krzyczę z bólu. Zawartość kubka z kawą rozbryzguje się na moich piersiach. Zderzam się z czymś masywnym, tracę równowagę i upadam.

*Kimś masywnym.*

Leżę na posadzce, a moje oczy znajdują się na poziomie zdar-tych czarnych traperów.

W komedii romantycznej tak właśnie wyglądałoby pierwsze spotkanie pary głównych bohaterów. Chłopak okazałby się za-bójczo przystojną gwiazdą szkolnej drużyny futbolowej, która na dodatek ma również najlepsze oceny w klasie. Pomógłby mi wstać i zupełnie przypadkowo miałby w plecaku zapasową ko-szulkę. Ja z kolei przebrałabym się w nią w toalecie, moje cycki stałyby się przy okazji większe, biodra mniejsze, a on odprowa-dziłby mnie do klasy i zapytał, czy zechciałabym iść razem z nim na studniówkę.

W mojej rzeczywistości jednak gościem, na którego wpadłam, jest Declan Murphy, który teraz kipi ze złości. Jego koszulka i kurtka są przesiąknięte kawą i odrywa je właśnie od klatki pier-siowej.

Moje życie to nie komedia z romantycznym zakończeniem, a chłopak przede mną to nie najlepszy rozgrywający w historii szkoły. Declan jest czarną owcą z ostatniej klasy. Jest notowany i regularnie zostaje po lekcjach. Jest wielki i wredny, i choć ru-dobrzazowe włosy oraz mocno zarysowana szczeka mogą kręcić niektóre dziewczyny, to mrok bijący z jego oczu wystarczy, by trzymały się z daleka. Jedną z jego brwi przecina blizna i mogę się założyć, że nie jest to jedyna szrama, jaką posiada. Większość ludzi się go boi i mają ku temu powody. Rowan próbuje pomóc mi wstać, jednocześnie starając się mnie od niego odciągnąć.

Pierwszy szok mija, teraz Declan spogląda na mnie z wyra-zem absolutnej pogardy. Jego głos jest szorstki i niski.

– Co jest z tobą nie tak?

Odsuwam się od przyjaciółki. Koszulka przykleiła się do mojej klatki piersiowej i jestem pewna, że przez pastelowo-zielony ma-teriał doskonale widać mój fioletowy stanik. Kawa może i była gorąca, ale teraz czuję już tylko wilgoć i zimno. To poniżające

i koszmarne, i nie mogę się zdecydować, czy chcę się rozplakać, czy zacząć na niego wrzeszczeć.

Przez krótką chwilę nie mogę złapać oddechu, ale w końcu wciągam do płuc trochę powietrza. Nie boję się go.

– To ty wpadłeś na mnie.

Patrzy na mnie z nieskrywaną furią w oczach.

– To nie ja biegłem – mówi i bez uprzedzenia rusza gwałtownie do przodu.

Kulę się mimowolnie.

Okej, może jednak trochę się go boję.

Nie wiem, czego mogę się po nim spodziewać, ale wydawał się taki... *porywczy*. On jednak zatrzymuje się równie gwałtownie, krzywi na widok mojej reakcji, po czym pochyła się i łapie swój plecak, który spadł mu z ramienia w momencie zderzenia.

*Och.*

Ze mną chyba naprawdę jest coś nie tak. Z trudem zduszam w sobie chęć nawrzeszczenia na niego, choć cała ta sytuacja to przecież moja wina. Zaciskam mocno zęby.

*Juliet, opanuj się.*

Wspomnienie mamy uderza we mnie tak mocno, szybko i niespodziewanie, że tylko cudem nie wybucham płaczem. Jestem bliska załamania i wystarczy jedno niewłaściwe słowo, by posłać mnie prosto w objęcia wściekłości.

Declan się prostuje, jego twarz wciąż wykrzywia ten sam grymas i wiem, że za chwilę powie coś naprawdę podłego. A to, w połączeniu z tym potępiającym listem, może wystarczyć, bym zaczęła szlochać.

Wtedy jednak jego spojrzenie spotyka moje i najwyraźniej dostrzega w moich oczach coś, co usuwa mrok z jego twarzy.

Obok nas rozlega się nienaturalnie wysoki, niemal piskliwy głos.

– Declan Murphy. Znowu spóźniony.

Pan Bellicaro, nauczyciel, z którym miałam biologię w pierwszej klasie, stoi obok Rowan. Jej policzki pokrywają rumieńce i wygląda, jakby miała wpaść w panikę. Musiała wyczuć kłopoty i pobiegła po nauczyciela. To dokładnie taki rodzaj reakcji, jakiego można się było po niej spodziewać. Nie jestem pewna, czy bardziej mnie to irytuje, czy jednak sprawia, że czuję ulgę. Drzwi do klasy, z której musiał wyjść pan Bellicaro, stoją otworem, i dostrzegam uczniów wyglądających przez nie na korytarz.

Declan strzepuje dłonią krople kawy ze swojej kurtki.

– Nie spóźniłbym się, gdyby ona na mnie wpadła.

Pan Bellicaro zaciska usta. Jest niski i ma okrągły brzuch, który podkreśla różowa swetrowa kamizelka. Nie jest człowiekiem, którego można uznać za przystojnego mężczyznę.

– Nie wolno niczego jeść poza stołówką...

– Kawy się nie je – wtrąca Declan.

– Panie Murphy, z całą pewnością zna pan drogę do gabinetu dyrektora.

– Pewnie, mógłbym narysować panu mapę – odzywa się z wyraźnie narastającym gniewem, który przejawia się również w jego lekko przechylonej w przód postaci i spojrzeniu. – To nie jest moja wina.

Rowan wzdyga się pod wpływem jego tonu. Wykręca nerwowo dłonie. Nie dziwię się jej. Przez chwilę sama byłam niemal pewna, że ten chłopak uderzy nauczyciela.

Pan Bellicaro prostuje się, jakby chciał dodać sobie powagi.

– Chce pan, żebym wezwał ochronę?

– Nie. – Declan unosi ręce, choć w jego głosie słychać wściekłość. Tę samą, która promieniuje z jego ciemnych oczu. – Nie. Już idę.

Uczeń odchodzi, przeklinając cicho. Zaciska dłoń na papierowym kubku i wrzuca wściekle zmiętą kulkę do kosza na śmieci.

W mojej głowie wiruje tyle emocji, że ledwo mogę skupić się choćby na jednej. Wstyd, ponieważ to naprawdę była *moja* wina,



a ja stoję tylko i nie biorę na siebie odpowiedzialności. Oburzenie, spowodowane tym, jak się odzywał. Strach, który wzbudziło jego zachowanie.

Oraz zaciekawienie graniczące niemal z fascynacją, kiełkujące we mnie pod wpływem tego, w jaki sposób mrok zniknął z jego twarzy, gdy spojrzeliśmy sobie w oczy.

Bardzo chciałabym mieć zdjęcie jego twarzy zrobione dokładnie w tym momencie. Albo teraz, uwieczniające to, jak idzie zacienionym korytarzem. Światło błyska na jego włosach i zmienia je w złoto, gdy przechodzi obok każdego okna, ale jego szerokie ramiona i ciemne dżinsy spowijają głębokie cienie. Od śmierci mamy ani razu nie odczuwałam potrzeby choćby dotknięcia aparatu, a teraz nagle żałuję, że nie mam go w rękach. Czuję w palcach charakterystyczne swędzenie.

– Proszę, panno Young.

Odwracam się, pan Bellicaro trzyma w ręku białą kartkę papieru.

Znowu muszę zostać po lekcjach.